

**Tomasz Mizerkiewicz**

Uniwersytet im. Adama  
Mickiewicza w Poznaniu

## Polemika jako praktyka instytucjonalna. O „Moich zdziwieniach” Henryka Markiewicza

Abstract

### **Scholarly polemics as institutional practice. On Henryk Markiewicz’s “My Marvellings”**

The article analyzes the late polemics of Professor Henryk Markiewicz published at “Wielogłos” as “My Marvellings”. His critical texts concerning various philological works are presented as institutional practice. This kind of practice tries to solve problems emerging from tension between needs of Polish philological institutions and particular tasks challenging scholars.

**Słowa kluczowe:** Markiewicz Henryk, „Moje zdziwienia”, praktyka instytucjonalna, polemika naukowa

**Keywords:** Markiewicz Henryk, „My Marvellings”, institutional practice, scholarly polemics

Zanim pojawiła się na łamach „Wielogłosu” rubryka Henryka Markiewicza „Moje zdziwienia”, uczony wydał w roku 2007 tom zbierający jego wystąpienia polemiczne z lat 1947–2006<sup>1</sup>. Pracowite półwiecze sporów literaturoznawczych zostało tam udokumentowane poprzez wybór, a nie całość nader obfitej twórczości naukowej tego rodzaju. Publikacja nosiła tytuł *Utarczki i perswazje*, wprowadzający odautorską charakterystykę gatunkową zamieszczonych

---

<sup>1</sup> H. Markiewicz, *Utarczki i perswazje 1947–2006*, Kraków 2007.

wypowiedzi, ponieważ zaś były to nazwy rzadko odnoszone do polemik naukowych, stąd warto na nie zwrócić uwagę.

Utarczka pochodzi ze słownika militarnego i nie oznacza zwarcia okopanych przeciwników prowadzących wieloletnie wyniszczające kampanie. Raczej stanowi starcie nieco przygodne, wypróbujące antagonistę, wynikające z tego, że na jednym terytorium pojawiają się dwa podmioty działające i muszą jakoś określić zasady koegzystencji. W pracach polemicznych Markiewicza brakowało bowiem intencji wyniszczającej, była natomiast spora chęć do ucierania się, sprawdzania w ogniu krytycznym solidności odmiennych stanowisk.

Z kolei perswazja to w mniejszym stopniu spór, a w większym udział w agonii retorycznym. Przekonywanie do swoich racji, które przechodzi niekiedy we wzajemne perswadowanie sobie różnych rzeczy, to rozmowa tych, co już wcześniej poprzez utarczkę określili własne pozycje. Teraz z sobą debatują, klarują argumenty, uwodzą perspektywami poznawczymi, imają się całego szeregu także oratorskich chwytów dla zapewnienia własnym racjom posłuchu. Ten typ aktywności bardzo chętnie podejmowany był przez Markiewicza wykładającego własne przekonania, formułującego zasady filologicznej pracy, proponującego najbardziej korzystne rozwiązania diskutowanych problemów.

Zapewne można stwierdzić, że utarczka i perswazja to nie tylko dwa różne gatunki wypowiedzi polemicznej Markiewicza, ale często dwa wymiary tego samego wystąpienia. Zwykle w jego wypowiedziach krytycznych pojawiało się stanowcze zaznaczenie przyjmowanego stanowiska, kiedy trzeba – bezwzględnie szczerze określenie niedoskonałości poglądów przeciwnych, ale towarzyszyło temu skrupulatne i cierpliwe prezentowanie własnych przekonań, a w celach perswazyjnych składane bywały rozmówcy propozycje pewnych rozstrzygnięć itp.

Należy mieć w pamięci tę książkową publikację i wykorzystane w niej określenia gatunkowe, gdyż rok po wydaniu *Utarczek...* uczony rozpoczął publikowanie polemik w „Wielogłosie” i zamieszczał je odtąd w każdym numerze pisma pod nowym szyldem genologicznym, czyli jako „Moje zdziwienia”. Pod wieloma względami teksty pojawiające się w rubryce były podobne do tych z przywołanej książki. Zaproponowane nowe i jeszcze bardziej niecodzienne nazwanie gatunkowe zwracało uwagę na kolejny wymiar owych sporów. Ostatnie teksty krytyczne Markiewicza – obok swego charakteru utarczkowego i perswazyjnego – prezentowały trajektorię autorskich zdziwień, gdyż polemiki te rodziły się z nagłych stanów zaambarasowania i zbiecia z tropu. Autor przystający w zdziwieniu przy pewnych tekstach jawił się jako literaturoznawca wrzucony w pewne konteksty sytuacyjne, zaskoczony podczas pracy filologicznej, np. przy zajęciach lekturowych. Zdziwienia to polemiki wynikające z niespodzianek spotykających uczonego w obszarze nader konkretnego, codziennościowego kontekstu praktyki filologicznej. Polemika okazuje się tym samym reakcją na chwilową niemożność sprawnego działania

polonistycznej instytucji. Poprzez zrodzony ze zdziwienia spór wypracowana ma być formuła pozwalająca tejże instytucji nadal funkcjonować, okazać swoją przydatność w chwilach nieoczekiwanego zakłócenia dotychczasowych filologicznych praktyk.

O tym, że decydujące znaczenie dla „Moich zdziwień” miała polemika rozumiana jako interwencja w dziedzinie – i prowadzona w imię – **praktyki instytucjonalnej**, nietrudno się przekonać. Podam za przykład typowe dwie noty wieńczące teksty zamieszczone w rubryce:

Rozpatrywane tutaj prace [...] musiały więc być czytane przez promotorów, recenzentów prac doktorskich, a w każdym razie – przez recenzentów wydawniczych, redaktorów czasopism naukowych i tomów zbiorowych – i jak widać nie wzbudziły ich zastrzeżeń. Oni więc są współodpowiedzialni za owe usterki i oni są też współadresatami tego artykułu<sup>2</sup> (W 2008/2, 140).

Wszystkie omawiane tu książki firmowane są nazwiskami recenzentów wydawniczych i opiekunów naukowych. Powinienem je tutaj wymienić. Nie robię tego – powiem szczerze – z zażenowania, bo są wśród nich osoby, których wiedzę i sumiennosc naukową bardzo szanuję – i nie rozumiem, co się stało, jak mogły one nie dostrzec wskazanych tu usterek? (W 2010/1–2, 247).

Od razu można zauważyć, że Markiewicz wchodzi w zacytowanych fragmentach na pole wspomnianych praktyk instytucjonalnych. Niedomogi czy, jak mawiał, „brakoróbstwo” ze strony organów powołanych do sprawdzania jakości pracy filologicznej nieodmiennie prowokowały go do pisania artykułów, które demonstracyjnie pokazywały, że jednak praktyki instytucjonalne polonistyki działają sprawnie i starannie. Jego teksty pojawiały się na samym końcu procedur weryfikujących, stanowiły niezamawiany, dodatkowy głos superrecenzenta, dzięki któremu literaturoznawstwo nadal potrafiło w pełni zrealizować swoje obowiązki. „Moje zdziwienia” zatem były jednym z miejsc, w którym formowała się **nowa praktyka instytucjonalna** mająca poradzić sobie z sytuacjami, jakich nie przewidziała dotychczasowa polonistyka i prowadzone przez nią dotąd rutynowo działania.

O instytucjonalno-praktycznym charakterze sporów z „Moich zdziwień” przekonuje wiele ich cech. Zauważmy chociażby, że przedmiotem krytycznego oglądu Markiewicza stawały się teksty bardzo rozmaite. Obok projektów literaturoznawczych o znaczeniu fundamentalnym dla dziedziny (w rodzaju kulturowej teorii literatury) komentarza doczekały się publikacje młodych adeptów polonistyki, dzieła popularyzatorskie, pomysły krytyki literackiej i teatralnej, a niekiedy i zupełne drobiazgi, jak choćby wybierane przez kogoś do zacytowania zdania lub przywoływane łacińskie sentencje. Tak szeroka skala weryfikowanych przykładowo czy pogładowo tekstów ujawnia, że Markiewicz dowodził, iż jest możliwa prawidłowa praktyka instytucjonalna

---

<sup>2</sup> Cytaty z rubryki Henryka Markiewicza „Moje zdziwienia” zaznaczam w tekście głównym, podając kolejno skrót nazwy pisma (W), numer pisma i numer strony.

w każdym z wybranych rodzajów tekstów naukowych i okołonaukowych. Z reguły stawała się przedmiotem jego namysłu skala zaniedbań instytucjonalnych właśnie i znaczna część formułowanych postulatów dotyczyła korekty poszczególnych organów. Było tak w cytowanych już fragmentach, podobnie sprawa miała się w przypadku uwag o recenzjach teatralnych (sprawdzanych przy okazji spektaklu Jana Klaty opartego na motywach z powieści Conrada), które kończyły się następującymi spostrzeżeniami:

Recenzenci piszą, jak potrafią, dziwi jednak, że na ich wady ślepi są redaktorzy odpowiedzialni za dział kultury w swoich pismach. Powinno im przecież zależeć na tym, by publikowane teksty mogły być czytane ze zrozumieniem przez przeciętnych czytelników. [...] Czasem budzi się podejrzenie, że redaktorzy ci recenzji teatralnych w ogóle nie czytają, bo gdyby czytali, czy dopuściliby do druku takie zakalce? (W 2011/2, 162).

Swobodnie wybierane do lekturowego i krytycznego wypróbowania teksty czytane były przy tym z nieprawdopodobną wprost skrupulatnością. Markiewicz zawsze był znany z filologicznej akrybii, tym razem jednak brał na warsztat np. cenioną pracę Haydena White'a, by wynotować z niej 6 stron niedopuszczalnych błędów różnego typu. Z równą chęcią sięgał po prace popularyzatorskie, aby w kompletnej recenzji wychwycić wszelkie nieścisłości pojęciowe, nielogiczności wyводу, nadużycia interpretacyjne, błędy stylistyczne, przeinaczenia faktów itp., itd. Każdy dający się wyodrębnić składnik pracy filologicznej zostawał poddany osobnej ocenie. Oglądane były też pilnie gesty wykonywane w książce wobec wyobrażonego czytelnika. W omówieniu publikacji mającej na celu upowszechnienie wiedzy o literaturze średniowiecza zżymał się Markiewicz na nieczytelność wykładu i notował na koniec: „jako czytelnik prac historycznoliterackich ośmielam się powiedzieć, że [książka – T.M.] jest wręcz doskonałym przykładem, jak nie należy uprawiać popularyzacji w tej dziedzinie”. Po czym dodawał charakterystyczną obserwację: „A zdziwienie skąd? Ano stąd, że książkę firmują redakcyjnie dwie wybitne uczone [...]. Czy próbują taki styl popularyzacji?” (W 2008/1, 208).

Sama metoda prowadzenia sporu przez autora *Wymiarów dzieła literackiego* również miała na względzie jakość praktyki instytucjonalnej. We własnych wystąpieniach formułował postulaty i propozycje bardzo ściśle, kiedy trzeba wypunktowywał je, dokładnie uzasadniał zgłaszane zastrzeżenia, domagał się precyzji myśli od oponentów. Z tego trybu przeprowadzania polemik wynikać miały jak najbardziej określone i dzięki temu pożyteczne wnioski dla instytucji literaturoznawczych. Zdarzało się, że uczony wypowiadał swe sądy w zdecydowanym tonie, nie przebijając krytycznej opinii w łagodzące zastępniki wyrazowe, gdyż skutek poznawczy był zbyt ważnym pożytkiem, jaki miał z polemiki wynikać. Dlatego nie miał żadnego wyrozumienia dla dyskusji o kanonie literackim, jaką przeczytał w „Tygodniku Powszechnym”, a której przebieg podsumował tak oto:

Dlaczego nie satysfakcjonuje mnie taka debata? Ano dlatego, że jest zanadto rozwichrzona, jej uczestnicy, posługując się słowem „kanon”, mają na myśli bardzo różne rzeczy, używają określeń mglistych i wieloznacznych, częściej monologują, niż rzeczywiście z sobą rozmawiają, [...] zwalczają poglądy przez siebie wyimaginowane lub skarykaturowane (W 2009/1–2, 190).

W przeczytanej debacie-sporze raziły autora rubryki „Moje zdziwienia” liczne zaniedbania w sztuce prowadzenia polemiki naukowej (w tym przypadku także krytycznoliterackiej). Polemika w jego rozumieniu okazuje się sporym kunsztem i jej fortunność zależy od spełnienia przez uczestników wielu wyśrubowanych wymagań: musi być oparta na dokładnie definiowanych pojęciach, pozbawiona określeń „mglistych”, wypowiedzi powinny bezwzględnie się do siebie wprost odnosić, nie wolno ułatwiać sobie sporu przez „ustawianie” przeciwnika czy zwalczanego poglądu itd. Spór podlegał w recenzji Markiewicza równie wielostronnej weryfikacji i bezlitosnej wycenie, co każdy artykuł bądź książka naukowa. Zaangażowanie weń staje się bowiem szczególnie ważną praktyką, gdyż posiada zdolność **instytucjotwórczą**. Udanie przebiegająca dysputa antagonistów pozwala na wykrystalizowanie się nowych przedmiotów badań, odsłonięcie nieoczekiwanych perspektyw poznawczych, a w rezultacie – precyzyjne nazwanie aktualnie stojących przed instytucją wyzwań. Rozmowa „rozwichrzona” złościła Markiewicza, gdyż dotycząc tak istotnego przedmiotu, jakim jest kanon, nie pozwalała na określenie tego, z czym powinno zmierzyć się literaturoznawstwo, pozostawiano w jej wyniku instytucję bez jakichkolwiek wskazówek dotyczących dalszych działań, w osłabiającej jej kondycję niekonkluzywności, a nawet w stanie niejakiego chaosu. Wynika z tego, że polemiki Markiewicza miały być także dowodem na to, iż można nadal prowadzić spory instytucjotwórcze, a nie instyucjoburcze.

Śledzone uważnie nowe teorie i metodologie badań literackich bywały skrupulatnie sprawdzane z punktu widzenia możliwości, jakie dawały działaniom polonistyki. Markiewicz przyjmował w tych polemikach nieraz postawę uczonego starej daty, który żartobliwie strofował samego siebie w udawanym *soliloquium*: „Krytykujesz niezrozumiałość, a może to tylko ty nie nadążasz, usztywniły się i zaskorupiły twoje możliwości absorpcyjne wobec nowych teorii i celów badawczych?” (W 2012/2, 134). Zdystansowany w ten sposób wobec gorąco zalecanych lub zbyt ufnie przyjmowanych szkół metodologicznych, skwapliwie konfrontował je z realiami pracy filologicznej. Dyskutując z twierdzeniami Krzysztofa Zajasa na temat interpretacji, autor zauważał:

[...] ktoś inny, kto finansuje naukę, może powiedzieć: Czy dla poznania osobistych predylekcji czy dysgustów czytelnicznych [...] warto wydawać pieniądze podatników? Proszę bardzo, uprawiajcie sobie swój ogródek, ale jeśli takie są tylko jego plody, róbcie to na własny rachunek (W 2012/1, 136).

Filologia oglądana jest tutaj w otoczeniu innych instytucji, wobec których stale musi się określać, a niekiedy i legitymizować. To kolejny przejaw jej

praktyki instytucjonalnej. Poszczególne szkoły badawcze zawsze posiadają swoje filozofie nauki, a te z kolei muszą jakoś się odnaleźć w stałej debacie różnych organów, także tych pozaakademickich. Owe inne organy mniej czy bardziej systematycznie obserwują swe działania, indagują się, rozmawiają lub konkurują. Polonistyka sprawna instytucjonalnie okazuje się praktyką udanego rozgrywania relacji z odmiennymi organami, w czym bywają pomocne lub kłopotliwe jej aktualne filozofie naukowe. Dlatego polemika Markiewicza z przywołanym poglądem – i wieloma innymi – wynika w pewnej mierze z rozpoznania uwarunkowań praktyk instytucjonalnych polonistyki, której nie mogą służyć stanowiska zbyt nonszalanckie czy niebiorące w rachubę skutków wywoływanych na poziomie owych praktyk.

W innym miejscu dyskusji z tezami Zajasa uczony oprotestował pragmatyczne przekonanie o niemożliwości odróżnienia interpretacji uzasadnionych merytorycznie od odczytań pozbawionych tych uzasadnień i wyciągał zeń radykalny wniosek:

Jest to więc rezygnacja z oceny wartości poznawczej interpretacji. A jeśli tak, to nie ma sensu o nich dyskutować, bezzasadne jest nadawanie na ich podstawie stopni i tytułów naukowych. Oznacza to w praktyce paraliż literaturoznawstwa jako dyscypliny akademickiej (W 2012/1, 135).

Polemista komentował w tym miejscu przejaw tendencji szerszej, czyli upowszechnianie się czegoś, co nazywa się dziś „słabym profesjonalizmem”. Widząc zbliżającą się przemianę dziedziny, opominał się swymi ostrymi, ironicznymi uwagami, aby zadbać jak najstaranniej o dobre przełożenie nowych poglądów na działania organów polonistycznych. W przeciwnym razie grozić będzie filologii widmo gwałtownej deprofesjonalizacji i osłabienia jej pozycji w dyskusjach z innymi instytucjami. Markiewicz zdecydował się w tym przypadku nawet na ton mentorski, pisząc: „Pomyślcie o tym, koleżanki i koledzy, którzy z taką masochistyczną satysfakcją proklamujecie nienaukowość, relatywizm, subiektywizm, literackość swojej dyscypliny [...] i odbieracie jej tym samym resztki prestiżu” (W 2012/1, 136). Postawa profesora seniora zostaje w tym miejscu celowo wykorzystana, aby adwersarzom nadać znamiona naiwne, gdyż ich poglądy na interpretację określone zostały – za Krasickim – jako niepoważne zabawy w sytuacji, w której „chodzi o życie”. „Życie” odnosiłoby się oczywiście do możliwości przedłużenia praktyki instytucjonalnej uprawianej dziedziny wiedzy.

Niekiedy Markiewicz doprowadzał do zderzenia poznawanych modnych metodologii z realiami, odwołując się do sytuacji studenta, czyli adepta wiedzy polonistycznej. Przykładowo na marginesie rozmowy „Wielogłosu” o współczesnej komparatystyce zanotował:

Tak to już jest z postmodernistyczną komparatystyką literacką – płynną, niestabilną, transgresywną, czasem nieświadomą swej tożsamości, zaprzeczającą swej nazwie, bo wykraczającą poza literaturę i odzeganą od porównywania. [...]

Współczuję jednak polskim studentom filologii, którzy chcą się dowiedzieć, czego się uczą, obierając specjalizację komparatystyczną (W 2011/1, 159).

Studenci okazują się w przytoczonym wywodzie figurami pewnej praktyki instytucjonalnej. To ci, którzy zadają podstawowe pytania i wprowadzają w ten sposób wszystkie twierdzenia metateoretyczne w przestrzeń codziennego działania – w tym wypadku funkcjonowania określonej specjalizacji. Bywają więc instancją, która stosuje twarde sprawdzian możliwości translacyjnych nowych poglądów metodologicznych na języki i wersje ogólniej przystępne oraz weryfikowalne w praktycznej aktywności. W ogóle w wywodach polemicznych Markiewicza nieraz pojawiają się realia dydaktyczne, gdyż pewne powinności i konkretne zadania dziedziny wynikają z tej formy praktyki instytucjonalnej. Pojawiająca się w zacytowanym fragmencie kpina z niekomparatystycznej komparatystyki wyrazić ma znowuż obawę o to, czy współczesne filologiczne studia porównawcze spełnić mogą misję edukacyjną.

Sporzy z rubryki „Moje zdziwienia” prowadziły w konsekwencji do pytań o obecnie obowiązujące standardy wiedzy filologicznej, obowiązywalność uprzednich lub nowych zasad, ich podzielenie przez osoby współtworzące różne polonistyczne organy. Znowuż wynikałoby to z chęci dookreślenia reguł, w ramach których mogłaby odbywać się bez poważnych zakłóceń praktyka instytucjonalna filologii. Polemika-zdziwienie często brała się z rozpoznania sytuacji, w której należało czym prędzej rozpocząć łowy na nowe kryteria lub wszcząć dyskusję o normach działania. Szczególnie często sprawy tego rodzaju podejmowane były w obszarze teorii interpretacji. W sporze z odczytaniem *Lalki* przez Cezarego Zalewskiego powiadał Markiewicz w podsumowaniu:

Uwagi powyższe [...] są wyrazem szokującego zdziwienia, jakie towarzyszyło mojej lekturze artykułu Zalewskiego. Są także wyrazem obawy, czy zasady interpretacji historycznoliterackiej (nie adaptacyjnej!), które wydawały się bezsporne, nie stały się dziś anachronicznymi uroszczeniami. Ciekawe, co sądzi o tym redakcja „Pamiętnika Literackiego”, która artykuł ten opublikowała (W 2011/2, 167).

To nie tylko jedna z wielu utarczek Markiewicza z „lalkarzami” o *Lalkę*, ale zarazem polemika-zdziwienie, której zadaniem równie ważnym co obrona własnej wykładni dzieła Prusa byłoby poszukiwanie wspólnego języka, upewnienie się, czy nadal obowiązują przyjęte wcześniej reguły działania, czy też należy szybko wypracować nowe. Oby tylko udało się zaradzić sytuacji, w której – jak pisał w krytycznym omówieniu innego tekstu – „mamy do czynienia z zabawą, która nie ma reguł. A zabawa bez reguł to licha zabawa” (W 2012/1, 133). Sprawa ta wymaga dobrego zrozumienia celu wszczynanych przez Markiewicza sporów. Niekiedy uczony mógł się jawić w świetle swoich wypowiedzi jako ktoś przywiązany do nieaktualnych kryteriów badawczych, tymczasem w „Moich zdziwieniach” widziałbym przede wszystkim staranie o to, by stale wypracowywane były języki porozumiewania się osób prowadzących praktykę instytucjonalną polonistyki. Częścią ich pracy musi

być dyskusja nad tym, co składa się w danym momencie na *koiné* w zakresie podzielanych procedur czy norm.

Nie bez związku z zadaniem formułowania norm filologicznej działalności będzie sprawa, o której wspomnę na koniec. Otóż osobliwe polemiki, jakimi był cykl „Moje zdziwienia”, posiadały sporo ze wspomnianych w ostatnim cytacie „zabaw”. Dowcipność, sarkazm, autoironia, zaczepne i paradoksalne uwagi na stronie, przewrotne zmiany rejestrów stylistycznych – wszystko to dowodziło, że praktyki instytucjonalne w wydaniu Markiewicza były pełne wigoru, lekkości i swobody. Czasem wprost chodziło o żart językowy: „targetem tych tekstów, jak się dzisiaj mówi, są najwidoczniej inni historycy literatury” (W 2012/1, 124). Innym razem zaskakiwała przygodna wycieczka satyryczna: „Przestałem chodzić do teatru [...] dlatego, że mierzi mnie prymitywne, często bezmyślne masakrowanie klasyki w celach jej aktualizacji oraz kopolucyjne szpryngle na scenie” (W 2011/2, 160). Śledzenie czyjegós zbyt dygresyjnego omówienia pierwszego polskiego hymnu, które kończyło się rozważaniami nad starofrancuską sekwencją do św. Eulalii, prowadziło uczonego do pełnej rozbawienia obserwacji: „Na świętą Eulalię – cóż to ma wspólnego z *Bogurodzicą*?” (W 2008/1, 206). Bywał Markiewicz – niczym Tuwim – miłośnikiem kuriozów, stąd nie mógł się powstrzymać przed zacytowaniem fragmentu nadmiernie dosłownego zapisu dyskusji opublikowanego w książce pokonferencyjnej: „to jest pierwsza część pierwszej części naszego spotkania, bo potem zrobimy sobie małą przerwę na kawę i nawet jakieś ciasteczka tam widzę” (W 2008/1, 209). I oczywiście z lubością podejmował zadanie – z czego był w swych sporach szczególnie znany – wprowadzania merytorycznych korekt do cudzych wypowiedzi, w których styl cierpliwego wykładu łączył się ze stopniowo coraz wyraźniej widoczną intencją ironiczną:

Dziwi zdanie Linknera: „Takie było prawo «psychologii tłumy», znane Żeromskiemu, choćby z prac José Ortegi y Gasset’a” [...] O psychologii tłumy pisał przede wszystkim Gustave Le Bon. O tym, by Żeromski czytał Ortegę, nic dotąd nie było wiadomo. Zresztą *Bunt mas*, który by wchodził tu w rachubę, ukazał się w roku 1930. A więc pięć lat po śmierci Żeromskiego (W 2009/ 1–2, 193).

Zabawność podobnych wypowiedzi podpowiada, że polemiki-zdziwienia to praktyki instytucjonalne o bardzo silnym potencjale twórczym. Mówiący zachowuje mnóstwo swobody, potrafi zaskoczyć nieszablonowym zachowaniem, nieoczekiwaną perspektywą obserwacji, skojarzeniem dalekich kontekstów. Polemika-zdziwienie powiadamia w ten sposób, że praktyki instytucjonalne stanowią jeden z wymiarów filologii, w którym pojawia się najwięcej gestów inwencyjnych. Ich odkrywczość byłaby specjalnego rodzaju, brałaby się z tego, że są one propozycją **zabawy z regulami**. Oznacza to, po pierwsze, że wiele wspólnie podzielanych norm nadal obowiązuje, gdyż dowcipność możliwa jest wtedy, gdy odnosi się do jakiegoś wspólnego zespołu przeświadczeń. Dlatego w zacytowanych powyżej wypowiedziach Markiewicza pojawia się odesłanie do niektórych zasad (wystawiania klasyki, egzegezy tekstów



staropolskich, unikania informacji redundantnych w wypowiedzi naukowej i in.). Po drugie, że w czasie oddawania się praktykom instytucjonalnym bawimy się regułami, wypróbujemy je, eksperymentujemy z nimi. Nie można tego udanie dokonywać bez wprowadzanego przez żartobliwość szerokiego przyzwolenia na testowanie wielu korekt do dziedzinowych norm. Po trzecie wreszcie, zważywszy na oświeceniowe znaczenie „zabawy”, oznaczającej tyle co „zajęcie”, można powiedzieć, że polemika-zdziwienie w jej miejscach żartobliwych ujawnia to, czym jest w ogóle – zajmowaniem się regułami polonistycznej pracy. Poprzez praktykę instytucjonalną uczony oddawał się ich egzekwowaniu, kodyfikowaniu oraz upowszechnianiu, ale też sprawdzaniu i wymyślaniu.

„Moje zdziwienia” Henryka Markiewicza stanowiły zatem ważne uzupełnienie jego wcześniejszych sporów i były głosem ważnym, charakterystycznym dla aktualnych debat środowiskowych związanych z przemianami polonistyki. Nowy wymiar pracy krytycznej, jaką wprowadzały polemiki-zdziwienia, brał się z rozumienia ich jako rodzaju praktyki instytucjonalnej, która cały czas inwencyjnie szukała rozwiązań dylematów rodzących się z rozdźwięku między racjami instytucji polonistycznych a sytuacjami konkretnych zadań do spełnienia „tu i teraz” przez filologów. Ponieważ szczególnie martwiła krakowskiego uczonego sytuacja, w której uprawiana przez niego dziedzina będzie „lichą zabawą” pozbawioną reguł, toteż jednym z ostatnich swoich dzieł postanowił uczynić prowadzone po mistrzowsku polemiki, które były w każdym z trzech przedstawionych powyżej znaczeń przykładami doskonałej filologicznej zabawy z regułami.